Tylko DLA DZIEWCZĄT!

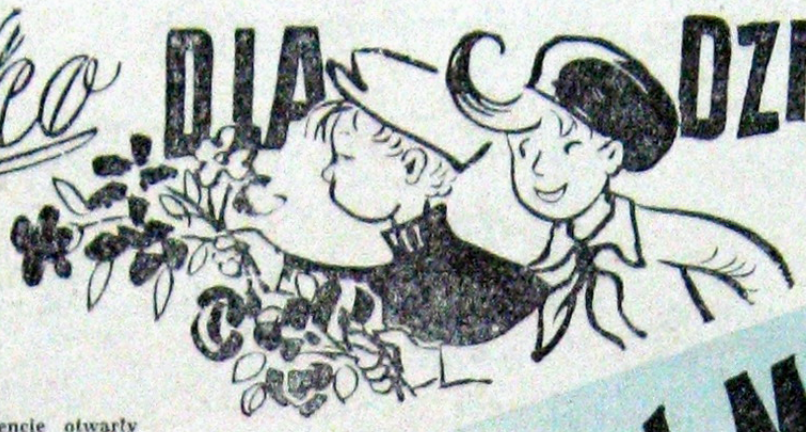

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

piątek, 9 marca 1956 r. CENA 20 gr.

Nr 20 (455). Rok VIII.

Tak postępują harcerki

Przysługa

KIEDY tego ranka Karolinka weszła do swojego pokoju w redakcji, zdziwiła się niezmiernie. Na stole stał w wazonie piękny bukiet kwiatów, a koło okna, ubrani odświętnie czekali na nią Kubuś i Wojtek Poprzeczka.

— Kochana Karolinko! — zaczął uroczyście Kubuś. — Kochana Karolinko! Dzisiaj, w dniu Święta Kobiet... — i stropił się nagle. Bo nie umiał przemawiać.

— Tak. Dzisiaj, w dniu Święta Kobiet... — powtórzył równie uroczyście Wojtek. I też urwał.

— No, więc właśnie dzisiaj, w dniu Święta Kobiet... — próbował jeszcze raz zacząć Kubuś i nagle wszyscy troje roześmiali się wesoło.

— Już trudno, powiedz to Kubusiu normalnie! — odezwał się Wojtek i machnął ręką z rezygnacją. — Chociaż szkoda tego przemówienia... Takie było uroczyste! Pół dnia pisaliśmy go wczoraj...

— Chcemy Ci, Karolinko, złożyć serdeczne życzenia — jednym tchem wyrzucił z siebie Kubuś. — A w twojej osobie składamy te życzenia także wszystkim innym dziewczynkom, wszystkim harcerkom! Bo przecież dzisiaj wasze święto,

W tym momencie otwarły się drzwi i do pokoju jak huragan wpadł profesor Wszędobylski.

— Drogie dziecko! — wykrzyknął od progu. — Droga nasza Karolinko! Przyjmij dziś od starego profesora mały upominek: żywego pieska.

— O! — zawołała Karolinka. — Bardzo się cieszę, ja tak lubię pieski!

Profesor ostrożnie położył na stole swoją olbrzymią teczkę, pocałował Karolinkę w czoło, zakręcił się jak wicher i wypadł na korytarz.

Kiedy Wojtek otworzył teczkę i włożył do niej rękę... odskoczył jak oparzony. W teczce znajdował się... jeż!

— Kochany ten nasz profesor! — śmiała się Karolinka. — Roztargniony jak zawsze!

— To jeszcze dobrze, że przez pomyłkę nie przyniósł żywego krokodyla! — mruknął Wojtek.

I znowu wszyscy troje wybuchnęli wesołym, serdecznym śmiechem. Takim, jakim potrafią śmiać się tylko dobrzy koledzy, prawdziwi przyjaciele.

Pies uratował życie małej Christiane

ZDARZYŁO się to we Francji w małym miasteczku Lhorme...

Niewidomy Hortellano wracał tego dnia jak zwykle z pracy. Szedł ulicą ze swoim specjalnie wytresowanym przewodnikiem — kudłatym psem Costaud. I nagle... Costaud szarpnął smyczę i wyrwał się swemu panu. Na jezdni rozległ się pisk zgrzytających hamulców, krzyknęło jakieś dziecko, z wielu stron padały wołania. Hortellano domyślał się, że musiało się stać jakieś nieszczęście. Przecież pies nigdy nie wyrywał mu się tak nagle... Co się stało? Oczy niewidomego nie pozwoliły jednak rozwiązać zagadki. Dopiero przechodnie opowiedzieli mu wszystko. A było tak...

Ulicą szła ośmioletnia Christiane. W pewnym momencie weszła na jezdnię chcąc przejść na drugą stronę. Zrobiła kilka kroków i... krzyknęła przerażona. Prosto na nią jechał duży autobus! Ale w tej chwili kudłaty Costaud wyrwał się ze smyczy i rzucił na jezdnię. Kilkoma susami dopadł dziewczynkę i przewrócił ją do tyłu. Autobus nie zdążył się zatrzymać. Wielkie koła przejechały tuż — tuż obok przerażonej dziewczynki. Christiane była uratowana! Pies jednak nie mógł się podnieść — był bardzo poraniony. Lekarz - weterynarz, do którego Costauda zawieziono, oświadczył, że bohaterskiego psa można uratować, ale będzie to bardzo dużo kosztować.

Ogłoszono zbiórkę pieniędzy na leczenie kudłatego ratownika: w ciągu kilku dni dzieci z całej Francji nadesłały prawie pół miliona franków!

Przez trzy dni Costaud walczył ze śmiercią. Codziennie odwiedzała go Christiane dopytując się lekarza o jego zdrowie. Ale kiedy piątego dnia Costaud zjadł z apetytem całego kurczaka, którego mu przyniosła Christiane, wszyscy byli pewni, że pies wraca do zdrowia. I rzeczywiście po kilku dniach znowu prowadził przez miasto swego niewidomego pana.

wg. „Przekroju"

Drrr... Budzik wydzwonił godzinę siódmą. Bożenka prędko wstała z łóżka i pobiegła do kuchni. Chwyciła miednicę, odkręciła kran. Wyciekła tylko kropelka wody...

— I znów zamarzły rury — zmartwiła się. — Trudno, trzeba przynieść wodę ze dworu! — Nałożyła płaszcz i buty. Chwyciła wiadro, sanki z komórki, wybiegła na ulicę.

W bramie jednego z domów oczekiwała przy studni duża grupa ludzi. Wszyscy tupali nogami, chuchali w ręce, pobrzękiwali pustymi wiadrami.

Nim przyszła kolej na Bożenę, zdążyła już porządnie zmarznąć... Zgrabiałymi rękoma ostrożnie dźwignęła pełne wiadro, ustawiając je na saneczkach. Przystawała zmęczona na każdym zakręcie. Teraz już było jej gorąco. Nawet za gorąco...

„Gdyby tak przyszło jeszcze raz pójść — pomyślała. Brrr!".

Mama zdziwiła się mile ujrzawszy w drzwiach córkę z pełnym wiadrem wody. Zadowolone usiadły wspólnie do śniadania. Wtem ktoś zapukał. Uchyliwszy drzwi zajrzała pani Sęder .

— Jest u was woda? — zapytała. — A to dopiero zmartwienie z tą wodą! Dzieciaki nie dadzą mi się krokiem z domu ruszyć — mówiła, słysząc za sobą krzyki.

— Ja pani przyniosę — bez namysłu zaofiarowała się Bożenka.

I znowu odbyła wędrówkę z wiadrem i saneczkami ulicami miasta.

— Pewnie bardzo zmęczyłaś się? — pytała, serdecznie dziękując, sąsiadka.

— To drobnostka — odpowiedziała zarumieniona.

*

Bożena Kukielka jest harcerką drużyny przy Szkole Ćwiczeń w Świdnicy.

Tak postępują harcerki

Po ostatniej LEKCJI

SKOŃCZYŁA się właśnie ostatnia lekcja. Klasa Vb zabierała się do domu. Niektórzy już wychodzili, inni pakowali jeszcze teczki.

— Ale pogoda! — mruknął ktoś podchodząc do okna. — Zimno, jak nieszczęście.

Nagle w drzwiach klasy stanęła wychowawczyni pani Dudziak.

— Zostańcie jeszcze na chwilę! — poprosiła. — Jest taka jedna sprawa...

Gwar uciszył się. Po chwili znów wszyscy siedzieli w ławkach.

„Co to za sprawa? — zastanawiali się. — Dlaczego pani taka smutna? Stało się coś?"

— Widzicie — mówiła wychowawczyni — zachorowała pani Kowalczyk. Zasłabła nagle... Tego lekarstwa, które potrzebujemy, nie ma w szkolnej apteczce... Trzeba je jak najszybciej przynieść z miasta, z tej apteki na rynku!

Klasa milczała. Wiadomość była przykra. Pani Kowalczyk to młoda nauczycielka. W Vb uczy geografii. Zawsze jest wesoła — cała klasa bardzo ją lubi. Każdy więc żałował, że pani Kowalczyk zachorowała, ale... ale... taka dziś kiepska pogoda, do rynku daleko — chyba przeszło kilometr drogi, a zresztą... już się skończyły lekcje...

Wychowawczyni popatrzyła smutno na swoją klasę.

— Ja wiem, że już jesteście po lekcjach — powiedziała cicho — wiem, że idziecie na obiad, ale myślałam, że może ktoś jednak...

Wtedy wstała z ławki szczupła, drobniutka Zosia Czechówna, prawie najmniejsza z klasy.

— Ja pójdę po lekarstwo dla pani Kowalczyk! — powiedziała głośno.

Po klasie przebiegł cichy szmer.

— Ja pójdę! — powtórzyła Zosia.

Wtedy poderwało się kilku chłopców. Było im wstyd, że nie zgłosili się wcześniej. Dobrze wiedzieli, że Zosia mieszka w zupełnie innej stronie, że ma spory kawałek do domu. Ale Zosia nie chciała ustąpić.

W chwilę potem, kiedy klasa Vb wychodziła ze szkoły i każdy rozchodził się w stronę swojego domu, mała Zosia Czechówna, zaciskając w dłoni kartkę z nazwą lekarstwa, biegła w stronę rynku.

Za dwadzieścia minut chora nauczycielka zażywała już lekarstwo. Obok niej stała Zosia. Oddychała jeszcze ciężko — była zmęczona biegiem. Ale oczy aż jej błyszczały z radości.

Będzin — Gzichów

Fraszki

Właściwy cel

Śnieżkami do celu rzuca z nas wielu,
by mistrza szczycić się mianem.
Kto celuje w dziewczynki — zawsze chybia celu
i staje się nie mistrzem, ale chuliganem.

EDMUND POLAK

Dwie kłótnice

Gdy jest kłótnia między
dwiema —
jedna racji pewnie nie ma.

WANDA CHOTOMSKA

Jak ozdobić zeszyty

— Czy lepiej wstążkami, czy
malowankami?
— Hm, chyba najlepiej dobrymi stopniami.

Fraszki

Elegantka

Ma wokół głowy szalik
różowy.
Zielone wstążki. Sweterek
w prążki.

W czerwoną bluzkę dwie
broszki wpina,
a szyja czarna jak
u Murzyna.

B. LEWANDOWSKA

Do gaduły

Wielka to wada,
gdy ktoś gada i gada.

*

Wszystkim życie z nią
obrzydło,
bo ma język niby szydło.

WIERA BADALSKA

Pilotka

W gromadce 30 dziewcząt, które w roku 1948 przyjechały na lotnisko pod Częstochową zwane „Górą Osona" niczym nie wyróżniała się wysoka, szczupła dziewczyna o szarych, trochę zaciętych oczach. Podobnie jak jej koleżanki z zaciekawieniem oglądała szybowiec szkolny, zwany popularnie „patykiem". I z jednakowym przejęciem po raz pierwszy ujmowała w rękę drążek sterowy.

Od tego czasu upłynęło 8 lat. Wanda Szemplińska została znaną w świecie pilotką szybowcową, rekordzistką świata, posiadaczką „3 diamentów" (najwyższej odznaki szybowcowej). Podczas pobytu polskich szybowników w Indiach, właśnie Wandzie przypadł w udziale zaszczyt pilotowania dwumiejscowego szybowca „Bocian", którym jako pasażer leciał premier Indii Nehru. Na naszą prośbę Wanda Szemplińska opowiedziała jedną ze swoich przygód na ulubionym szybowcu „Jaskółce".

KOMUŚ, kto nie latał nigdy szybowcem, wydaje się, że z każdym lotem związana jest jakaś przygoda. Ale dla nas, szybowników, przymusowe lądowanie albo walka z wiatrem czy burzą to zupełnie codzienny chleb. Bardzo lubię wystartować wczesnym rankiem z lotniska na Gocławku. Popatrzeć z góry na Warszawę. A gdy wieje sprzyjający wietrzyk i kłębiące się chmurki zwiastują dobre „noszenie", poszybować gdzieś w dal ku Kielcom czy Częstochowie.

Tego dnia wszystko zapowiadało się pomyślnie. Zaraz po odczepieniu się od samolotu, który holował moją „Jaskółkę", natrafiłam na prądy ciepłego powietrza. Szybowiec zaczął się unosić. Kurs południowo-zachód — postanowiłam spoglądając na kompas i mapę. Nie przypuszczałam, że ten wypad do Kielc o mało nie skończy się kraksą.

Gdzieś za Skarżyskiem uderzył nagle o skrzydła silny zachodni wiatr. Gwałtownie przesunęłam drążek sterowy do przodu. Szybowiec zwiększył szybkość i jakiś czas walczył z wiatrem, ale jednocześnie coraz bardziej tracił wysokość. Nie było rady. Zaczęłam oglądać się za miejscem do lądowania. Ale gdzie? Dookoła lasy i wapienne skały.

Jednak jest! Dostrzegłam zieleniejącą w dole łączkę. Zataczając łuk, próbowałam podejść do lądowania pod wiatr. Niespodziewanie tuż przede mną wyrosły stalowe słupy linii wysokiego napięcia. Błyskawiczny ruch sterami i szybowiec dał nurka pod druty. Podskakując siadł na kamienistej łączce. Rozejrzałam się. Nigdzie żywej duszy. Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się gwizd i z krzaków wybiegło dwóch chłopców.

— Patrz ,pilotka! — krzyknęli na mój widok.

Nie wiem, jak to się stało, bo do wsi, jak się później dowiedziałam, był dobry kilometr, ale po paru minutach szybowiec otaczała cała gromada dzieci. Zwykle są one utrapieniem lądujących przymusowo szybowników. Wszystkiego muszą dotknąć. Tym razem jednak udało mi się malcom przemówić do rozumu. A zresztą, zdaje się, byli wśród nich harcerze.

Wspólnie zabezpieczyliśmy szybowiec przed podmuchami wiatru i pozostawiwszy strażniczki (dwie dziewczynki dały mi słowo, że nikomu nie pozwolą nic ruszyć), pobiegłam do wsi. Po chwili telefonowałam na lotnisko: „Przyślijcie samolot, lądowałam przymusowo na wschód od Kielc".

— Mało miejsca do startu i te kamienie... — powitał mnie pilot, gdy samolot wylądował na łączce.

— Zaraz je wyzbieramy — zaofiarowały się stojące obok dzieci. Pół godziny i „lotnisko" było gotowe.

Z niepokojem usiadłam za sterem. Czy pilotowi uda się wystartować? Z jednej strony skały, las, a z drugiej linia wysokiego napięcia. Samolot ryknął stukonnym motorem i pomknął do przodu. Poczułam, że lecę. Nagle tuż przed nami wyrosła ściana lasu. Pilot gwałtownie próbował poderwać maszynę. Za późno! Rozległ się trzask i z lewego skrzydła samolotu posypały się drzazgi. „Koniec mojej „Jaskółki" — pomyślałam. Byłam za blisko drzew, żeby je wyminąć. Z impetem zawadziłam o gałęzie. Ale co to? Lecę dalej. Tuż nad drzewami. Pilotowi udało się wreszcie poderwać samolot.

— Nie się nie martw, doleciemy do Warszawy — machał do mnie ręką pokazując dziurę w skrzydle. I rzeczywiście doleciełiśmy.

zanotował K. WOJT.

Kubusiowym piórem

„BABY" to są BABY!

POZNAŁEM kiedyś jednego chłopca. Nazywał się Rysiek. Był wysoki i chudy jak nie karmiony przez nikogo strach na wróble. Pierś miał walecznie wypiętą do przodu, czuprynę gęstą i tak zmierzwioną, że chyba nigdy nie spotkała się z cudownym działaniem grzebienia. Głos gromki i bohaterski, tylko w chwilach zdenerwowania przypominający nieco pianie koguta. Oczy Ryśka rzucały władcze spojrzenia, budząc posłuch i szacunek. Rysiek kochał bez pamięci sport i nie lubił dziewcząt.

— No, bo zrozumcie — głosił otaczającej go gromadce kolegów patrzących na niego z cielęcym zachwytem — baby to są baby! Delikatne to, jak kwiatek, chuchro, że wiatr przewróci, wystarczy, by mysz się pokazała 10 kilometrów stąd, a już dostaje gęsiej skórki. Niech tylko byle co się stanie, leje zaraz takie łzy, jakby się chmura oberwała. Nie mówię o sporcie. Ścigać to się mogą ze... ślimakiem.. Zresztą kto wie, może by je przegonił. Idąc na narty zakładają poduszkę na siedzenie, bo więcej siadają niż jadą. Co innego my, mężczyźni!

Słowa Ryśka witane były gromkim pomrukiem uznania. Chłopcy, tak jak on, dumnie wypinali piersi, a oczy ich mówiły zuchwale: „Chcecie, to zaraz Karpaty przeniesiemy nad morze".

A dziewczęta aż dygotały z oburzenia i gniew w nich bulgotał jak wrzątek w czajniku.

*

Pewnego dnia w powiatowym mieście odbywały się zawody narciarskie. Pierwszą konkurencją miał być bieg patrolowy. Rysiek oczywiście brał w nim udział i stał właśnie na starcie obok kolegów z patrolu. Nagle jeden z nich zgiął się wpół, jak gdyby ktoś mu dał kuksańca, i jęknął przeraźliwie:

— O rany Julek, ale mnie brzuch boli!

Trzeba było z ofermy zrezygnować. Rysiek pobladł z rozpaczy, że już nici, bo przecież patrol musi się składać z trzech. Wtem podszedł do nich jakiś narciarz w kapturze i okularach przeciwśnieżnych na oczach.

— Ja wam pomogę. Zastąpię tamtego — powiedział. — Jestem z tej samej szkoły co wy, tylko że z klasy szóstej.

Rysiek popatrzył na niego bez przekonania, ale zawsze była to jakaś deska ratunku. Zresztą nie było czasu zastanawiać się. Ko-

misja zatwierdziła zmianę, sędzia machnął chorągiewką i patrol Ryśka pomknął na trasę. Gnali jak opętani. Po kilkuset metrach wspinania się pod górę Rysiek trochę się zasapał, zaczął świstać jak lokomotywa, więc krzyknął do szóstoklasisty:

— Te, poczekaj chwilę!

Wybawca odwrócił głowę, uśmiechnął się nieznacznie, nie zwolnił, lecz bez słowa podał kijek Ryśkowi i zaczął go podciągać. Gdy znaleźli się na szczycie Rysiek klepnął z uznaniem kolegę.

— Równy z ciebie chłopak!

Pojechali dalej. Pewnie ze zdenerwowania Rysiek za nic nie mógł odczytać depeszy napisanej Morsem. Wychodziło mu ciągle jakieś „Abrakadabra". Szóstoklasista pomógł mu i zrobił to nadzwyczaj szybko. Rysiek był pełen podziwu: — „Takiego zucha mieć w klasie" — pomyślał. Na punkcie z „rannym" błyskawicznie zabandażowali komuś nogę, ale stracili kilka cennych sekund. Bo przez pośpiech Rysiek zawinął razem z nią i swoją rękę. Potem zrobili szkic i tu znowu znajomy zaimponował Ryśkowi znajomością kompasu. Do mety było już niedaleko. Pędzili więc jak pośpieszny pociąg. Wpadli na nią zdyszani, ale uśmiechnięci od ucha do ucha. Sędzia obliczył czas i ogłosił wszem wobec:

— Patrol uzyskał pierwsze miejsce!

Rysiek czerwony ze szczęścia obrócił się do szóstoklasisty, aby go uścisnąć i.. oniemiał. Stała przed nim niebieskooka dziewczynka z długimi, uwolnionymi z kaptura warkoczami.

Chłopcu oczy stanęły w słup, twarz nabrała niezbyt mądrego wyrazu, potem oczy rozbiegły się na wszystkie strony, w głowie zaszumiało, nogi zgięły się i Rysiek... zemdlał.

Jak baba!

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Panna z mokrą głową

(Fragment powieści)

DNI W ZAKOPANEM były promieniste, a dusza Irenki tuliła się w mroku... Zbyszek, jeśli nawet na nią spojrzał, patrzył tak, jakby była ze szkła i jakby przez nią, jak przez powietrze, można było widzieć stół, czy krzesło. Cóż dla takiego wspaniałego melancholika znaczy taki laskonogi podlotek, dla człowieka z siódmej klasy,) piętnastoletni skrzat! Jak wytłumaczyć temu opętanemu Zbyszkowi, że ona nie jest dzieckiem, lecz dorosłą, zdolną do największych poświęceń osobą.*

...Przypadek, wspaniały przypadek sprawił, że musiał przekonać się o jej znaczeniu we wszechświecie. Nikt tego nie mógł przewidzieć, a ona pojęła w lot, że jeśli teraz nie skorzysta z dziwnego zbiegu zdarzeń, przypadek taki już nigdy nie powtórzy się. Szła przez zalany słońcem park, kiedy usłyszała za sobą śmiech i głośną rozmowę. Zdawało się jej, że poznaje głos Zbyszka, miękki jak mech. Szedł w towarzystwie dwóch drybłasów: swoich kolegów, i głośno o czymś rozprawiali. Przyśpieszyła kroku, a wtem zalśniło coś w jej duszy, jak błyskawica. Tuż przed nią, szczerząc zdrowe zęby do słońca, siedział na ławce wielki On, słynny śpiewak Zadora. Z oszołomionej jej głowy wytrysnął nagle pomysł perlisty, jak fontanna. Tamci już się zbliżają... Za chwilę Zbyszek będzie tędy przechodził...

Podbiegła do Zadory i usiadła przy nim tak niespodzianie, jak gdyby zleciała z drzewa. Słynny człowiek zdumiał się zupełnie tak, jak zwyczajny człowiek.

— O, to pani! — rzekł wesoło.

— Tak, ja... Drogi, złoty, kochany... Potem panu wszystko powiem... Ale teraz niech pan powie głośno, jak najgłośniej: „O, cudna pani, szaleję za tobą!" I niech pan oczy wywróci, albo ręką złapie się za serce... Już, już, niech pan mówi!

Zadora, wesoły chłopak, poczuwszy jakąś radosną awanturę, o nic nie pytał, tylko wrzasnął z niezmiernym przejęciem:

— O, cudna pani, szaleje za tobą!

...Zbyszek spojrzał! Jest cokolwiek zdumiony, lecz cóż to... Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak litościwie i tak drwiąco... Spokojnie poszedł dalej.

Zimny, bezgłośny piorun padł u stóp Irenki.

— Dobrze było, co? — zaśmiał się Zadora z całego serca. — To o niego szło? Rozumiem! O, cóż to panienka taka smutna?

— Nawet pan nie pomógł — szepnęła Irenka. — W takim razie nic już nie pomoże... Dziękuję panu...

Patrzył za nią długo, kiedy odchodziła wolnym krokiem.

— To jakaś pomylona dziewczyna — pomyślał — albo bardzo zabawna.

Tego samego zdania byli wszyscy, kiedy przy wspólnym obiedzie, podczas chwilowej ciszy, Irenka rzekła niedbale:

— Ten sławny Zadora oświadczył mi się dzisiaj w parku, ale go nie przyjęłam.

Jednej pani wypadła łyżeczka z ręki, ktoś inny znieruchomiał z wzniesionym w górze widelcem. Trwało to jedną krótką chwilę, nagle bowiem wszyscy — oprócz Zbyszka — wybuchnęli rozgłośnym śmiechem.

— Klapa! — pomyślała Irenka i pochyliła głowę nad talerzem.

— Koza! — bąknął Zbyszek.

Do końca obiadu była celem żartów.

— Palnęłam nieśmiertelne głupstwo — myślała Irenka już w swoim pokoiku. — Ale tej kozy nigdy mu nie przebaczę. Skąd on od razu przejrzał, że to była heca? Albo słyszał wszystko, kiedy prosiłam Zadorę, albo też ten Zadora zbyt śmiesznie wygło-

Wiosna W HARCERSKIEJ MODZIE

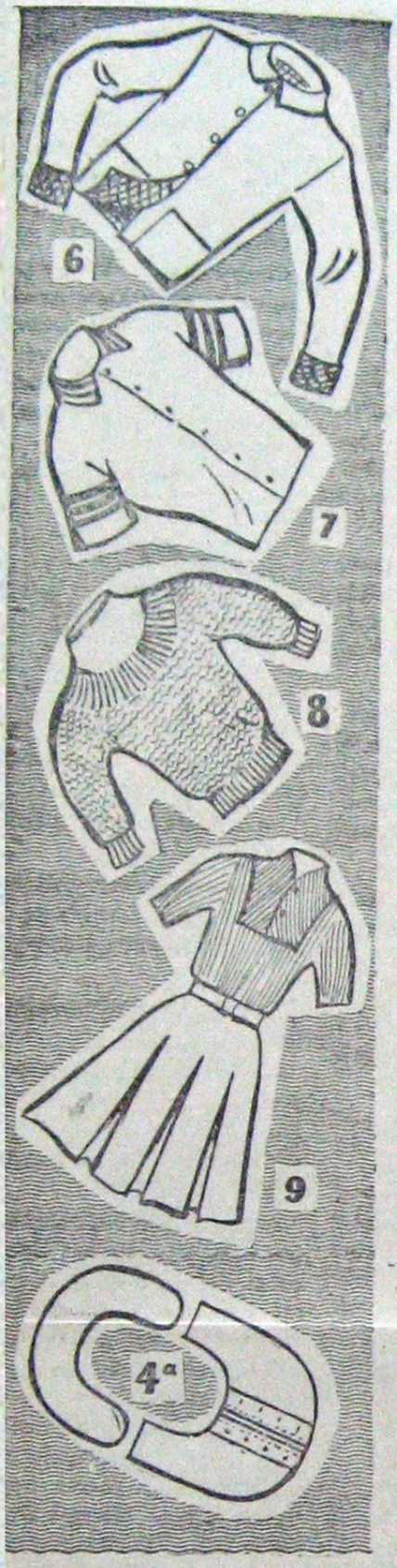

Praktycznie, tanio, sportowo!
Z przewagą materiału – welwetu – oto hasła harcerskiej mody wiosennej...
Popatrzmy, jak one wyglądają w modelach!...

1

Welwetowe spodnie — „ogrodniczki". Prawda, jakie ładne? A jakie praktyczne, nie gniotą się prędko!

2

Ciemna sukienka z szelkami. Możemy zakładać do niej różne bluzeczki.

3

A z tym modelem musimy troszeczkę poczekać, aż będzie cieplej...

4

O, to prawdziwie modna sukienka, z dekoltem! Można ją łatwo przerobić ze starej, zapinanej pod szyją. Kamizeleczki spróbujmy same uszyć, by móc jak najczęściej je zmieniać...

4a

Kołnierzyk kroimy oddzielnie (rys. 4a), przedtem zmierzywszy dokładnie obwód szyi i dekoltu sukienki. Następnie przyszywamy go do dwuczęściowej kamizeleczki, ładnie obdziergując przy niej dziurki. Całość zaś lekko przyczepiamy do sukienki (by łatwo było odjąć do prania) i... kreacja gotowa.

5

Do zabawy i na wycieczkę posłuży nam ten sportowy strój. Wełnianą bluzkę z suwakiem i kieszeniami same możemy zrobić na drutach. Najlepiej, gdy będzie w tym samym kolorze co spodenki.

6

Niezwykle modny kolorowy żakiecik (najlepiej z welwetu) na podszewce z jedwabnej kratki. Kratka zdobi także mankiety.

7

Zamiast kolorowego haftu, na rękawki i kołnierzyk bluzki z lnianego płótna, można naszyć krajkę.

8

Sweterek — kimono, łatwy do wykonania na drutach. Mankiety, pasek i kołnierzyk, robione ściegiem — ściągaczem.

9

Plisowana spódniczka z bluzeczką w drobne paski.

sił wspaniałe słowa... Musiało to niemądrze wypaść i wszystko na nic.

*

...Już niedaleka była godzina odjazdu; Irenka siedziała w salonie i, rozgarniając wzrokiem liliowy zmierzch, chciała raz jeszcze spojrzeć na góry...

...Nagle rozległ się wielki tupot ciężkich narciarskich butów i gwałtowne trzaskanie drzwi...

..Zbyszek wpadł do pokoju rozpromieniony i burzliwy.

— Irenka, ty tu? — zaśmiał się wesoło. — ...Wyjeżdżacie?

— Wyjeżdżamy — rzekła ona głucho. — Czy dlatego jesteś taki rozradowany?

— Bynajmniej. Możesz sobie tu siedzieć przez cały rok... Mam inne powody do radości!

— Można wiedzieć, jakie?

— Można! Wiedziałaś, dlaczego byłem smutny, możesz dowiedzieć się, dlaczego jestem wesoły. Odkochałem się! Z Gretą Garbo koniec, amen, finis!

Liliowy świat zakręcił się z Irenką. Z serca spadł jej ogromny kamień i bez szelestu potoczył się po dywanie.

— Zbyszku! — rzekła z radością — już nie będziesz cierpiał?

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiedział z nagłą chmurą na czole. — Wprawdzie odeszło mnie tamto, ale przyszło nowe. Ja nie mogę żyć bez miłości. Zakochałem się na nowo...

— W kim? — zakwiliła Irenka.

Zbyszek wydobył z kieszeni na piersi fotografię jasnowłosej niewiasty.

— Widzisz? To jest Liliana! — mówił Zbyszek.

— To jest czupiradło! — krzyknęła Irenka.

Chciał ją od razu zabić wzrokiem, ale ze zdumieniem spostrzegł, że jeszcze żyła... Irenka cokolwiek zbladła tylko i rzekła głosem, załamującym się z osłabienia:

— A co będzie ze mną?

— Jak to z tobą? — zdumiał się Zbyszek.

— Przecież ja... przecież ja... ja jestem zakochana...

Zbyszek najpierw otwarł usta z wielkiego zdumienia; poznawszy zaś wielką tajemnicę Irenki, zamiast chwycić się za serce, chwycił się niespodziewanie za brzuch...

— Ludzie, ratujcie mnie, bo zginę! — ryczał wesoło. — Ten pędrak jest we mnie zakochany! Oj, skonam ze śmiechu! — darł się Zbyszek.

— Owszem! — krzyknęła Irenka. — Ty skonasz, ale nie ze śmiechu!

I zanim miał czas pojąć, co się stało, skoczyła ku niemu, jak ryś na ogłupiałą ofiarę. W wielu bojach zaprawna, zręczna i silna, wparła się nogami w dywan, a dla równowagi rękami wparła się w jego czuprynę. Zrozpaczona miłość, zamknąwszy oczy dla tym większej odwagi, zaczęła go okładać z cudowną pomysłowością, a jemu zdawało się, że spadł na niego grad, wielkości gęsich jaj...

— To za Gretę Garbo!... a to za Lilianę!... — zapowiadała Irenka każdy cios, aby nie było pomyłki, który pada za którą.

Pani Opolska i Pani Milecka wpadły przerażone do pokoju i stanęły, jak wryte...

...Połączonym siłom, które przybiegły na plac boju, udało się z trudem rozdzielić gladiatorów, z których jeden z roziskrzonymi oczami i z rozdętymi chrapami, drżał, pomściwszy swoją krzywdę serdeczną, a drugi wyobrażał obraz nędzy i rozpaczy, blady, pobity, zhańbiony do końca swoich dni...

— Podła! Podła! Podła! — darł się Zbyszek.

— Pogadaj z piecem! — mruknęła Irenka, którą już „odeszło".

Potem, nieco bezładnie, zaczęła wyjaśniać zdumionej i zawstydzonej pani Mileckiej, że miała ze Zbyszkiem krwawe porachunki, ale nie może powiedzieć, na jaki temat i serdecznie ją błaga, aby się nie gniewała, że z jej rodzonego syna uczyniła kwaśne jabłko.

K. MAKUSZYŃSKI

*) Autor pisze o siódmoklasiście szkoły starego typu. Obecnie Zbyszek byłby uczniem X klasy.

Wywiad Z KRĘCILOCZKIEM

DUŻA oszklona wystawa. Zatrzymuję się przed nią oglądając ufryzowane główki manekinów.

Wewnątrz, wysoki i chudy, słynący w Warszawie z fryzjerskiego kunsztu, mistrz Kręciloczek — objaśnia mi, jak może, najmodniejsze fry zury dla harcerek.

— Grzywki? Już dawno wyszły z mody.

— Długie loki? Te w młodości naszych babek uznawano za fryzurę przestarzałą...

— Co zrobić z długimi włosami? Bardzo proste: zaplatać w warkocze, koniecznie w warkocze i to wiązane wstążkami przy uszach...

— Tak jak ja noszę?

— Zupełnie tak. To najmodniejsza fryzura! I w ogóle gładko, gładko, jeszcze raz gładko...

— A jak czesać włosy „średniej" długości?

— Obciąć krótko, wiązać z tyłu, powyżej karku czystą wstążeczką lub aksamitką (unikając jednak sznurowadeł) byle tylko nie zaplatać w „mysie ogonki"!

— A co z krótkimi? — Obciąć jeszcze krócej i zawiązać kokardę z lewego boku...

— Czy w każdej fryzurze każdej harcerce będzie jednakowo ładnie?

— Nie. Stanowczo nie. Np. obcinać bardzo krótko można tylko włosy gęste. Wiązać z tyłu, tylko przy gwałtownej twarzy... ale tu każda z was sama najlepiej zadecyduje!

— I pomogą na pewno rysunki fryzur, jakie pan poleca — prawda? — zakończyłam rozmowę.

NA KONIEC — CZEGO DOBRZE UNIKAĆ...

1. **...noszenia zbyt wielu „świecidełek", a więc bransoletek, kolczyków, nylonowych pasków... — już dawno przestały być modne.**
2. **...brudnych, wymiętych kołnierzyków i wstążek — robią nieprzyjemne wrażenie na otoczeniu, a najbardziej na harcerzach...**
3. **...zbyt częstego nacierania twarzy skórkami ogórka. Na cerę dobrze nie wpłynie, a może się zdarzyć, że ogórki zaczną kiełkować...**

DRUŻYNOWA KAROLINKA

NORA SZCZEPAŃSKA

3)

Ilustr. SZ. KOBYLIŃSKI

Amulet Czetanaka

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ODCINKÓW

Aby zadość uczynić zwyczajowi indiańskiemu i zdobyć pasujący na dojrzałego wojownika amulet, czternastoletni Czetanak musi upolować wskazane mu przez Wielkiego Ducha zwierzę. W tym celu Czetanak, razem z dziadkiem i swoim bratem Oopą, udaje się w daleką podróż.

Podróżujący Indianie dojeżdżają do amerykańskiego fortu Laramie. Tam właśnie, według wskazań dziadka, Czetanak ma znaleźć poszukiwane zwierzę. Chłopiec wchodzi na teren fortu.

WSZĘDZIE, gdzie się obejrzał, panował brud, brzydota i nieład. Jakaż różnica między tym co widział, a białymi namiotami jego rodzinnej wsi i czystą, przewianą wiatrem przestrzenią prerii.

Z zaciekawieniem i wstrętem spoglądał na zarośnięte oblicza mężczyzn i na popstrzone błotem twarze dzieci. Wreszcie spostrzegł kobietę, której ciemna skóra i czarne włosy wzbudziły jego zaufanie.

— Szunka-luta? — spytał, a widząc, że go nie rozumie, powtórzył głośniej: — Szunka-luta! Szunka-luta!

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie. Wskazała mu jednak dom, którego szukał.

Czetanak stanął niezdecydowany w drzwiach. Wydało mu się, że znalazł się u wejścia do jaskini. Do mrocznej jaskini, gdyż izbę, którą miał przed sobą słabo rozjaśniały niewielkie, obciągnięte pęcherzami okienka i leniwie płonący na kominku ogień. W powietrzu wisiał ciężki, kwaskowy zapach, podobny do tego, który chłopiec poczuł przy bramie, mijając grupę Pawnisów. W głębi na półkach, lśniły mosiężne i cynowe naczynia. Było pusto.

Jednak Czetanak nie miał odwagi wejść. Czuł strach i wstręt przed zamkniętymi, jak skrzynie, domami białych, których grube, nieprzewiewne ściany zdawały się człowieka więzić. Stał tak, póki jacyś ludzie nie popchnęli go naprzód. Ludzie weszli i rozsiedli się hałaśliwie na ławach. Izba napełniła się dymem z fajek i wrzawą.

Wówczas drzwi w głębi otworzyły się i wszedł chudy, czarny dryblas o odstających uszach.

— Dawaj piwa, Szunka-luta! — rozwały się głosy od stołów.

— Rumu! Rumu, do stu tysięcy diabłów! Słyszysz, Szunka-luta, czerwony psie!

Gdy Metys obsłużył gości i stanął w głębi za szynkwasem, chłopiec zdecydował się wreszcie opowiedzieć mu o swoim zmartwieniu. Na szczęście Szunka-luta rozumiał narzecze Dakotów.

— Czarne zwierzę?... Ogon bizona?... Chodzi na dwóch łapach?... — Metys spoglądał na chłopca ze zdumieniem. Potem nagle otworzył usta i zaczął się śmiać. Trząsł się po prostu ze śmiechu.

— Amulet!.. Skóra na amulet!... Cha, cha, cha! Skóra na amulet!...

Czetanak uczuł, że wzbiera w nim gniew. Jakże ten Metys śmie kpić sobie ze świętych obyczajów! Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Szunka-luta otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec i zawołał:

— Dalila! Dalila!

W chwilę potem wszedł do izby wielki podstrzyżony pudel. Czetanak omal nie krzyknął ze zdumienia. Jego zwierzę! Zwierzę ze snu!

Pierwszym odruchem chłopca było chwycić za nóż. Myślał tylko o amulecie.

Lecz tuż nad sobą usłyszał gniewny głos Metysa:

— Oszalałeś! Ta suka należy do białego kupca!

Młody Indianin patrzył jak urzeczony.

— Ten sam... — powtarzał — ten sam, tylko we śnie chodził na tylnych łapach...

Myśliwi siedzący na ławie bliżej szynkwasu zaczęli się oglądać. Jeden z nich wstał i zbliżył się do Metysa.

— Co to za pies? — spytał zaciekawiony, patrząc na kudłaty, osiwiały już pysk pudla.

— To suka Moberlego — powiedział Szunka-luta. A widząc zainteresowanie gościa dodał:

— No, Dalila, pokaż co umiesz! Hopsa, Dalila! Hopsa!

Pies stanął na tylnych łapach i zaczął nimi śmiesznie przebierać jak w tańcu. Wtedy Metys wziął z półki miedziany talerz. Suka chwyciła go w zęby.

Serce chłopca zabiło gwałtownie.

— Tak jak we śnie... Tak jak we śnie — powtarzał sobie. Lecz naraz przemknęła mu myśl jak błysk, że widział to już kiedyś, dawno, nim był jeszcze na pustkowiu, nim śnił o tym. Kiedy? Czyż mógł wiedzieć?

Stał wtedy, jak dziś, przed psem, który trzymał lśniącą miskę w zębach. Wokół była ciemność. Ciemność niepamięci. Kiedyż to mogło być?

Drzwi od podwórza skrzypnęły znowu i do izby wpadły dwa duże, kudłate szczeniaki. Przypadły do matki, potarmosiły ją i rozbiegły się baraszkując po kątach.

— Szunka-luta — rzekł chłopiec i uczuł, że wzruszenie ściska mu gardło — rozumiesz, muszę mieć skórę takiego psa.

Metys roześmiał mu się w twarz.

— Głupi! — powiedział tylko.

Jednakże chłopiec nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał z Metysa upartego, ponurego spojrzenia. Szunka-luta zaczął się krzątać za szynkwasem. Potem otworzył drzwi i wyjrzał na podwórze. Zdawał się przez chwilę namyślać, rozczesując brudnymi palcami kosmyki rzadkiej brody. Wreszcie skinął na chłopca.

— A co dasz za niego? — spytał półgłosem.

Czetanak spojrzał zaskoczony. Na to nie był przygotowany. Miał przecież upolować zwierzę, a nie kupić. Potrząsnął przecząco głową.

— Nic — rzekł — nie mam nic...

Metys wzruszył ramionami i odwrócił się.

— Poczekaj! — zawołał nagle chłopiec. — Mam czaprak z podwójnej skóry lamparta! Tam, przed bramą, na koniu!

Szunka-luta popatrzył na niego uważnie. Zmarszczył rzadkie brwi.

— Lampart, mówisz?... Lampart...

Skóry tego rodzaju były tutaj rzadkością. Zdarzały się tu pumy, niedźwiedzie, lisy, kojoty, borsuki...

Metys zbliżył się do młodego Indianina.

— Zapytam białego kupca — powiedział zniżonym głosem. Rzucił szybkie spojrzenie na siedzących pod ścianą myśliwych i wyszedł.

Długo nie przychodził. Chłopiec oparł się o ścianę i czekał cierpliwie. „Cokolwiek się stanie, nie odejdę stąd — myślał. — Muszę zdobyć psa. Muszę go co prędzej zabić, by jego skóra znalazła się w moim amulecie. Inaczej wyśmieją mnie we wsi. Będę musiał iść na przyszły rok po raz drugi na pustkowie. Muszę zdobyć skórę psa! Tak, tak stać się musi!"

Spod ławy wyszedł jeden ze szczeniaków. Przybliżył się do chłopca i obwąchał jego mokasyny. Potem przeciągnął się i spojrzał w górę ku twarzy Czetanaka. Zaskomlał. Wspiął się, oparł grube, niezdarne jeszcze łapy o nogi chłopca i zaskomlał natarczywie. Może chciał się pobawić. Ręka młodego Indianina bezwiednie prawie sięgnęła po nóż. Nagle uczuł na palcach szturchnięcie psiego nosa i ciepły język chlasnął go po dłoni w krótkiej pieszczocie. Czetanak wyprostował się i odepchnął szczeniaka.

Wreszcie zjawił się Metys. Nachylając się nad chłopcem powiedział szeptem:

— Idź! Przynieś skórę lamparta.

Potem wyprowadził go przed dom. Skręcili koło bocznej ściany.

— Tu — pokazał — tu będę czekał. Przyjdę z psem. Twoje ręce dadzą i twoje odbiorą.

(c. d. n.)

UWAGA czytelnicy!

Czy pamiętacie, że do 10 marca należy zapłacić prenumeratę „Świata Młodych" na następny kwartał (kwiecień — czerwiec br.)?

Przypominamy także, że gazetę naszą można znów prenumerować w urzędach pocztowych i u listonoszy — zarówno na wsi jak i w mieście. Można też opłacać prenumeratę miesięczną.

A więc pośpieszcie się! Został już

TYLKO 1 dzień

SPRÓBUJ rozwiązać

POD REDAKCJĄ JADWIGI STĘPIENIOWEJ

Czy wiesz, które z wymienionych tutaj ptaków spędzają u nas zimę?

Kukułka, szczygieł, kowalik, bocian, kuropatwa, jastrząb, sójka, słowik, sikora modra, gil.

REBUS

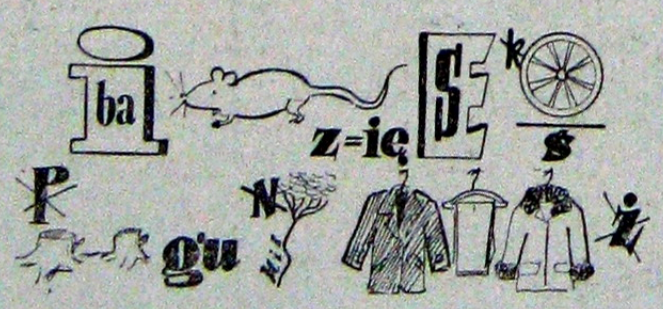

Rozwiązania należy przesyłać na osobnych kartkach w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru. Za trafne odpowiedzi rozlosowane będą nagrody książkowe.

Wydaje: Zarząd Główny ZMP. Redaguje: Zespół — Warszawa, ul. Mokotowska 24 telefon 8-25 45, 8 77-21. Administracja RSW „PRASA" III Delegatura Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 8-01 11, 6 24 63. KOLPORTAŻ: Centrala kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruchu" Przedsiębiorstwo Państwowe Warszawa, ul. Srebrna 12. PRENUMERATA miesięczna 1,40 zł, roczna — 16,80 zł. Prenumeratę należy zamawiać u listonosza lub w urzędzie pocztowym tego rejonu, na terenie którego mieszkanie. Wpłat należy dokonywać do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. DRUK: Zakłady Drukarskie i Wkładodrukarnia RSW „PRASA", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Nakład RSW „PRASA".

Zam. 493. B-7-33673